

Marian Kowalski

Kapryśne serca



Marian Kowalski

KAPRYŚNE SERCA

© Copyright by Marian Kowalski & e-bookowo
projekt okładki: e-bookowo
Zdjęcie na okładce: Marian Kowalski
ISBN 978-83-7859-030-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Patronat medialny

Twojakultura.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

*Postaci w powieści są fikcyjne,
ich podobieństwo do osób rzeczywistych
jest przypadkowe.*

Rozdział pierwszy

1

Po przeczytaniu listu od matki z niezgrabnie stawianymi literami, bez zachowania marginesów, bez akapitów, z częstymi skreśleniami niektórych fragmentów, Kamila Osajda poczuła się nieswojo. I to nie dlatego, że zarzuty wobec niej były mocno uzasadnione („zapomniałaś o nas, nie piszesz, nie przyjeżdżasz...”), ale ponieważ słowa te uprzytomniały jej, jak mało uwagi poświęca rodzicom. Od kiedy wyprowadzili się do Kudowy Zdroju, do małego domku na słonecznym stoku, który miał być ostatnią przystanią, odwiedzała ich bardzo rzadko, pisała do nich sporadycznie, raczej tylko od święta. Nawet w pamięci nie miała dla nich wiele miejsca – nie wspominała ich za często.

Należała do złych, wyrodných córek? Nie. Reprezentowała racjonalną postawę, w której liczyły się fakty, ogniwa wydarzeń w codziennym łańcuchu. Wspomnienia, pamięć o przeszłości pojawiały się w jej życiu tylko wówczas, gdy uzasadniały zajęcie przez nią jakiegoś stanowiska w określonej sprawie. W innym przypadku stanowiły balast. Kochała rodziców, była im wdzięczna za to, co od nich otrzymała, za ich zasługi w wychowaniu, wykształceniu, lecz nie czuła obowiązku ciągłego zaprzątania sobie nimi głowy, martwienia się tym, jak sobie radzą. Uważała ich dotąd za zdrowych, w pełni sił. Wierzy-

ła, że są szczęśliwi z dokonanego wyboru miejsca na jej się swego życia i czują tam jego pełny smak. Kiedy zwie-
rzyli się z zamiaru wyjazdu ze Szczecina, nie próbowała
ich zatrzymywać. Mieli do tego pełne prawo. Nawet jed-
nym zdaniem nie podjęła tematu, który być może powin-
na poruszyć – odległość utrudni bezpośredni kontakt,
uniemożliwi przyście z pomocą w każdej chwili, gdy z
upływem lat okaże się potrzebna. Takiej sytuacji w ogóle
nie brała pod uwagę, nie myślała o starzeniu się rodzi-
ców, o powolnym lecz nieuchronnym niedołączeniu.
Rozstawiała się z nimi jak z młodymi, pełnosprawnymi
wycieczkowiczami czy wczasowiczami wyruszającymi w
pociągający ich region na południu kraju. Nie było żadnej
lzy pożegnania z jej strony. Cóż, teraz rodziny nie takie
przestrzenie rozdzielają. To nie dramat, że ona będzie
nadal mieszkała na północy kraju, a oni na południu.

Nie miała zamiaru odpisywać na otrzymany list. Po
co? Nie odczuwała potrzeby usprawiedliwienia się, nie
uważała też za stosowne dzielić się swoimi problemami...
Po co, w czym jej mogą przyjść z pomocą? Najlepiej zro-
bi, jak pojedzie do nich w weekend, może na jakąś rocz-
nicę, których w ich życiu nie brakuje. Wybierze termin,
gdy sprawdzi, kto kiedy się urodził, kiedy brali ślub. Mo-
że im sprawić wielką przyjemność, bo ludzie starsi lubią,
gdy ktoś pamięta o ich rocznicach. Będą to odwiedziny
nie przypadkowe, lecz okazjonalne. Smakowała to
słowo. Było dęte, balonikowe, należące do tych samych
co 'jubileusz', a ten kojarzył się jej z jednym – kacem fi-
zycznym i moralnym.

List matki z pytaniami „(jak ci się córeczko żyje? czy
jesteś szczęśliwa?)” skłonił do pewnej refleksji. Gdyby
musiała odpisywać, jaka byłaby odpowiedź? Zbyt wiele w

życiu przeczytała książek, poznając ludzkie losy, przemyślenia i rady, by nie kwestionować prawdy, że dążenie do szczęścia jest prawem człowieka. „Dobrze żyć i dobrze się mieć” – powtarzała za Arystotelesem, starając się na tej filozoficznej sugestii poprzestawać. Jeżeli coś ją naprawdę martwiło, to niepewna sytuacja gospodarcza w kraju, los zatrudniającej ją firmy, widmo bezrobocia, jakie stało przed nią. Ale na to nie miała wpływu, więc darowała sobie zaprzątanie tym głowy.

Czy prócz dziecka brakowało jej czegoś?

Czy gdyby w porę rozstała się z Sebastianem cierpiącym, jak to lekarze określili, na impotencję względną, wobec której okazali się bezradni, jej życie wyglądałoby teraz ciekawiej?

Czy żyło się jej źle? No, nie. Nawet ciągnący się od dłuższego czasu ostry kryzys w małżeństwie nie podważał przeświadczenia, że ułożyła sobie życie nieźle.

Zjadła kolację w kuchni – talerzyk kanadyjskich borówek z naturalnym jogurtem Bałkańskim, gęstym, ładnie, dekoracyjnie kładącym się na owocach, kontrastującym swą bielą z aksamitną barwą dojrzałych jagód zrywanych z uprawnych, wysokich krzaczków. Leśnych jagód nie kupowała, obawiając się bąblowicy, choroby inwazyjnej wywoływanej przez tasiemce. Borówki zagryzała dwoma kromkami pszenno-żytniego chleba zwanego Chłopskim, jaki ostatnio wypatrzyła w piekarni opodal agencji „Ranteksu”, i w którym natychmiast się rozsmakowała, uważając, że jest bezkonkurencyjny. Z herbat wybrała „Green Tea”, z indonezyjskich plantacji – jak

zapewniał producent – pozbawioną środków konserwujących; bardzo chciała mu wierzyć; jak i w to zresztą, że zawiera witaminy C, K i E, reguluje ciśnienie tętnicze krwi, zapobiega również tworzeniu się kamieni w nerkach.

Wyszła na taras. Zapadał zmierzch, księżyc zawisł wysoko nad topolami nieruchomo stojącymi wzdłuż Autostrady Poznańskiej. Spośród przeszło tysiąca znanych gwiazd z gwiazdozbioru Łabędź wzrok Kamili zatrzymał się na jednej, wyróżniającej się czerwonym blaskiem. Patrząc na spokojne niebo, trudno było jej uwierzyć, że nasz układ planetarny pędzi w kierunku Łabędzia z niewyobrażalną szybkością dwustu trzydziestu kilometrów na sekundę! I raz po raz zagrażają mu spadające meteoryty!

Jakże nieistotne pod tym rozgwieżdżonym firmamentem wydawały się pytania o szczęście, o sens życia. Niezależnie od człowieka, w kosmosie następują eksplozje supernowych, powstają mgławice, rodzą się nowe gwiazdy. A jednak nawet gdy człowiek ma świadomość swej znikomości, żyje tak, jakby w tym świecie uzależnień od natury pozyskał dla siebie nadzwyczajne prawa do podejmowania decyzji obcych fizyce, chemii, astronomii. Dlaczego tak trudno pogodzić się mu z tym, że jest tylko marnym pyłkiem i pokornie powinien się poddać biegowi wydarzeń także jego obejmujących! Trzęsienia ziemi, lawiny błotne, tsunami, wybuchy wulkanów w każdej chwili mogą zadecydować o ludzkim losie!

Ze skrajów lasu dał się słyszeć głos puszczyka. Pohukiwał, wzywał, wywołując w Kamili lekki dreszcz. Zawsze, ile razy słyszała sowę, miała wrażenie, jakby obwieszcza-

no złą zapowiedź zdarzeń. Nie lubiła tego ptaka, jego u-hu-hu-u-u. Nie należała do osób przesądnych, jednak kiedy ten głos docierał do niej, to nie mogła się uwolnić od niedobrych przeczuć. Tak było i tym razem. Przypomniał się jej list od matki, uwaga na temat pogarszającego się zdrowia ojca. Cierpi na zeszywniające zapalenie kęgosłupa. Jest to bardzo bolesne. Matka napisała jedynie o tym, co ojciec przeżywa, lecz ani słowem nie wspomniała, jaki ta dolegliwość sprawia jej kłopot. Może liczyła na pomoc ze strony córki? Ale w jaki sposób mogłaby pośpieszyć z ratunkiem czy wsparciem?

Pomysł przeprowadzki z północy na południe kraju chyba dla wszystkich nie był najszczęśliwszy.

I dlaczego matka tak często w liście przekreślała, zamazywała niektóre wyrazy, a nawet dłuższe fragmenty mozolnie tworzonej epistoły? Z czego najpierw chciała się zwierzyć, a po namyśle postanawiała ukryć to przed córką, jakby zamierzała ją oszczędzać. „Každy dźwiga swój krzyż, córeczko” – powtarzała nieraz i prawdopodobnie tej zasadzie była wierna i teraz, gdy ma pod opieką chorego męża i zdana jest na siebie, tylko na siebie.

Zrobiło jej się żal matki. Zaslugiwała na lepsze życie. Tyle lat borykania się z trudami codzienności, bez męskiego wsparcia, z tęsknotą kierowaną w różne strony świata, na wszystkie morza i oceany, gdzie pływał jej mąż, z niepokojem wysłuchująca komunikatów o trzęsieniach ziemi, huraganach, cyklonach, tsunami, porwanach statków przez somalijskich piratów... I teraz, gdy znaleźli dla siebie ostatnią przystań, znów jest sama, skazana na swe siły, na hart kobiety walczącej z losem. W jaką stronę dziś kieruje się jej tęsknota? Na północ kraju?

Jakie wiadomości wywołują w niej obecnie niepokój? Tak jak kiedyś bała się o los męża, tak może teraz żyje obawą o los zięcia na morzu?

Była pełna podziwu dla matki. Przechodzi przez życie godnie, z odpowiedzialnością za siebie, męża, córkę. Co ma w zamian? Niesprawnego męża, córkę nie znajdującą dość czasu, by ją odwiedzić...

Wieczór wypełniał się coraz intensywniejszym zapachem wody i ziół, szczególnie uchwytna była woń mięty zmieszana z aromatem owocujących drzew i krzewów. Z pobliskich otwartych okien kuchni dochodziła też wonność smażonych w miedzianych rondlach śliwek, a może także jeszcze innych ogrodowych darów późnego lata odorującego dojrzałością i słodyczą. Właśnie miodowym ciepłem pachniał schyłek tej pory roku. Jesienny owoc albo jest początkiem nowego życia, albo daje rozkosz podniebieniu. Dlaczego człowiecza jesień jest chora, cierpiąca i najczęściej budząca odrazę?

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu.

– Dobry wieczór. Pani Kamila? – upewniała się dziewczyna po drugiej stronie drutu. – Mówi Sylwia Jerzyk. Nie przeszkadzam?

– Dobry wieczór, Sylwio – odpowiedziała Kamila. – Jak się masz, sąsiadeczko?

– Pani Kamilo, poszukuję książki Aleksandra Brücknera *Mitologia słowiańska i polska*. Czy ma ją może pani w swojej bibliotece?

Sylwia najwidoczniej przeceniała biblioteczny zbiór w domu Osajdów. Nie, nie miała.

– Szkoda.

– Sięgasz po bardzo ambitne książki. Nauczyciel jakiego przedmiotu wam ją polecił?

Tytuł ten nie znajdował się w żadnym wykazie książek polecanych uczniom. Jej znajomością pragnęła zaimponować nauczycielowi i to wcale nie języka polskiego czy historii. Ulubionemu belfrowi. Jest sprężysty jak tygrys, przestrzeń między drzwiami a biurkiem pokonywał jednym skokiem. Siedział sobie spokojnie, słuchał lub coś tłumaczył („matematyka to nauka permanentnego wyjaśniania rzeczy niezrozumiałych”) i nagle – jakby był pociskiem wystrzelonym z działa – wyskakiwał i lądował przy ostatnich ławkach w klasie, potem z tą samą szybkością powracał do tablicy. Żaden z chłopaków nie był takim sprinterem. Nauczyciel okazywał się w tym dobry i nie miał sobie równych. Dziki kot, przed którym trzeba się strzec, szalony belfer, nie wolno z niego spuszczać z oczu, bo nigdy nie wiadomo, co zrobi, gdzie się znajdzie, na co przyjdzie mu ochota. Takiemu nikt kosza na głowę nie założy! Miał na imię Filip, królewskie imię, które oznacza: ‘lubiący konie’. Czy wybór imienia wpływa na charakter noszącego je? Matematyk nie zdradzał się ze skłonnością do dojrzewających dziewcząt, może lubił konie jak Filip, król macedoński?

– Panie profesorze – wyrwała się wówczas Sylwia jak filip z konopi – lubi pan konie? – spytała i powoli opadła na krzesło.

Poczuła się, jakby przeniesiono ją do miasteczka Twin Peaks, w którym wszystko jest prawdopodobne i wszystko może się wydarzyć. Niestety, matematyk nie pasował do niego, może nawet nie wiedział o istnieniu telewizyjnego serialu. Filip to Rambo! To Sli! To Sylwester Stallone w belferskim wydaniu! Ach, te jego oczy! Takie mógłby mieć wiking Olaf Tryggvason przemawiający na drakkarze do żeglarzy albo wsłuchany w pieśni skaldów opiewających czyny bohaterów. Tymczasem pan Filip sprężył się jak do skoku, ale nie skoczył ani do tablicy, ani w stronę Sylwii, lecz w poezję:

– „Koń to zwierzak. Animal. Rży i wierzga. Patrzy w dal. Lecz do dali się nie pali – no bo niby co z tej dali?”

Odczekał, aż klasa ochłonie, pryśnie bańka z poezją, wróci proza. Pytania zawsze zadawane są prozą:

– Jak mi ktoś z was na następną lekcję powie, kto jest autorem tego wiersza, to na półrocze wszyscy – wyraźnie wymówił to słowo – dostaniecie z matematyki oceny pozytywne. – I zaśmiał się jak szatan w jesiennym ogrodzie pod bzami, *książę tego świata*.

Uciekli z ostatniej lekcji i natarli na biblioteki, na zaprzyjaźnionych polonistów, na wierszokletów. Dzwonili do krzyżówkowiczów, do redakcji pism wydających dodatki kulturalne, nawet na uniwersytet. Mówili o zwierzaku, co się do dali nie pali. Tyle ile pamiętali. I nic. Za mało pozostało im w pamięci, niedokładnie powtarzali wersy o koniu. Nie mieli głowy do poezji. W pamięć wbiła się tylko dal, do której zwierzę się nie pali. To było za mało, stanowczo niewystarczająco, by poznać utwór, tytuł, autora. Każdy pytany chciał usłyszeć więcej, a oni mówili tylko tyle, że zwierzę do dali się nie pali. Czekano

na więcej, a oni z uporem tylko: „zwierzę do dali się nie pali”. Jakby to było jedno z pytań w teleturnieju w walce o milion. Proszono o koła ratunkowe. Nie było ich.

Kamila Osajda też im nie mogła pospieszyć z natychmiastową pomocą. W swej bibliotece nie miała żadnej książki z dziedziny hipologii. Łatwiej jej przyszło eliminować autorów, niż ułomnie przekazywaną treść wiersza przypisywać któremuś ze współczesnych poetów, bo to na pewno napisał ktoś z czasów, w których chętnie w wypowiedziach artystycznych posługiwano się groteską. Na przykład mógłby to być Konstanty Ildefons Gałczyński, ale należy sprawdzić. Na to potrzeba trochę czasu, oranie w tomikach, zbiorach, almanachach, szperanie w Internecie.

Nazajutrz przyszli z pochylonymi głowami, pokorni i rozczarowani bezradnością świata wobec ich problemów. Wielu podziwiałło belfra, byli jednak i tacy, którzy jeszcze bardziej go znienawidzili; nie dość, że zadręcza matematyką, to jeszcze zaczął dobijać poezją. Powinna być wzmozżona selekcja kandydatów do pracy z normalnymi dziećmi!

Dla Sylwii wynik pojedynku belfra z uczniami nie miał większego znaczenia. Przeżywała trudne dni miesiąca, bo po dłuższej przerwie jedno z czterystu jajeczek zaczęło się uwalniać. Stwardniały piersi dziewczyny, bolały brodawki, odczuwała skurcze brzucha. Mama cierpliwie wysłuchiwała skargi, na pocieszenie powiedziała, że to naturalne i przejdzie, a na koniec zgodziła się na zwolnienie z lekcji.

– Oj, dzieciaki, dzieciaki – śmiała się Kamila. – Macie pomysły. Imponować belfrowi! Kto by pomyślał! – Znów śmiała się rozbawiona. – Ja z tą książką dopiero w czasie studiów się zetknęłam. Skoro jest ci potrzebna, to zajrzę do biblioteki, do której przecież mam bardzo blisko. Pożyczę dla ciebie – zobowiązała się, bo na całym osiedlu to dziecko najbardziej lubiła.

– Dziękuję. Dobranoc.

– Dobranoc, kochanie.

Kamila wróciła na taras. Zapadła już noc, gwiazdy zajaśniały większym blaskiem, a księżyc kontynuował swój bieg wokół Ziemi. Według doniesień astronomów zbliżał się do niej, co rzekomo jest zapowiedzią kataklizmów: powódzie, trzęsienie ziemi, niebywałe huragany.

2

Kamila Osajda wyjechała wczesnym sobotnim raniem wstającym nad pustoszącymi polami z lekką fioletową mgiełką. Na rżysku pozostawały równo złożone walce słomy i głębokie koleiny po przejściu zbożowych kombajnów. Gdzieniegdzie już ruszyły traktory z pługami odkładającymi czarne skiby rozdziobywane przez białe rybitwy. Dym ze sterzcących nad kabinami kierowców rur szedł prosto do nieba ciemnobłękitnymi smugami *cirusów*.

Droga na południe kraju we wrześniową sobotę była mniej uczęszczana niż w okresie pełnego lata. Skończyły się wyjazdy nad morze i w góry, niewiele osób wykorzystywało weekendowy czas na dalekie wojaże. Kamila podróżowała więc szybciej niż przewidywała. Obwodnicą minęła Gorzów Wielkopolski, a potem podobnie Zieloną Górę, Legnicę i w południe dojeżdżała już do sudeckich kurortów.

Dobrze знаła plan Kudowy Zdroju, więc nie traciła czasu na błędzenie. Z ulicy Głównej, prowadzącej do czeskiego Nachodu i Pragi, skręciła przy stacji benzynowej w prawo, w ulicę Zdrojową, potem 1 Maja (o dziwo, jeszcze jej nie zmienili na Jana Pawła II albo Ofiar spod Smoleńska), dojeżdżając do centrum, w kwaciarni kupiła kilkanaście czerwonych róż. Następnie już tylko minięcie zabudowań Zakładów Przyrodoleczniczych, Aquaparku i ulicą Władysława Sikorskiego, ostrożnie przesuwając się między pensjonariuszami domów wczasowych, docierała do celu – do domu rodziców.

Nie od razu weszła do środka. Z przyjemnością patrząc na Górę Parkową z czapą sosnowego lasu, oddychała głęboko świeżym, górskim powietrzem. Kiedy w końcu stanęła przed matką, poczuła pewne zakłopotanie. W wyblakłych oczach znalazła mniej radości, niż oczekiwała, gdy zdecydowała się na tę długą podróż. Widocznie zmęczenie było u niej większe, aniżeli zdolność wyrażania szczęścia z odwiedzin córki.

Ojciec nie wstał z tapczanu, leżał pod grubym wełnianym kocem i na znak powitania podniósł ciężką prawą dłoń z opadłym rękawem górnej części pidżamy. Świadek niszczącego upływu czasu. Kamila uściśniła ją, przytuliła do twarzy. W oczach mężczyzny nie dostrzegła najmniejszej iskierki radości. Poczuła się w tym domu nieswojo, jak w obcym, wśród obcych ludzi. W pokoju pachniało starociami, wędnącymi w wazonie czerwonymi różami – ulubionymi kwiatami ojca – kurzem z półek zastawionych fotografiami w połączonych ramach formami nawiązującymi do secesyjnej stylistyki. Od podłogi ciągnęła wilgoć. W smudze światła dogasającego dnia widziała zaniedbanie w wyglądzie matki, nieogoloną twarz ojca pokrytą siwym zarostem. A przecież powiadomiła ich o przyjeździe, uprzedziła, więc dlaczego nie przygotowali siebie, domu na tę niecodzienną wizytę? Nie mieli sił, czasu czy po prostu zignorowali takie wydarzenie jak odwiedziny córki?

– Jak się czujesz... – zawahała się. Zwykle mówiła do ojca „tato”, ale w ten szczególny dzień pragnęła zwrócić się do niego z cieplejszym słowem, serdeczniejszym: – ... tatusiu?

Chorem nie powinno się zadawać takiego pytania, bo ledwo zawiesiła głos, a zaraz usłyszała długą tyradę cierpiącego człowieka. Nieważna była droga Kamili przez cały kraj z północy na południe, nieistotne jej zmęczenie, stres, głód czy pragnienie, ale lekarka z Wrocławia, która orzekła, a ojciec cytuje ją dosłownie: „Ja pana nie wyleczę, choć bardzo bym chciała, i moi koledzy też nie, ba, na całym świecie nie ma jeszcze takich specjalistów, takich środków, które zwalczyłyby pańskie zeszytniające zapalenie kręgosłupa, ja tylko mogę sprawić, że będzie mniej bolało, tylko tyle i aż tyle zrobię”. Mądra, dobra lekarka, z wiedzą głęboką, ale cóż ona, kochana (ten epitet chyba odnosił się nie do Kamili, lecz do pani doktor z Wrocławia?) poradzi, gdy nie jest cudotwórczynią? Bo odcinek lędźwiowy kręgosłupa powinien być wygięty do przodu. Krzywizna lędźwiowa tworzy z kością krzyżową kąt skierowany wierzchołkiem do przodu. Tymczasem...

Skąd u ojca taka znajomość budowy kręgosłupa? Czy nie za wiele o nim wie?

– Przywykłem do cierpienia na tyle, by je lekceważyć, ale gdy atak zwała mnie z nóg, gdy w krzyż wbijają się gwoździe, żyć się nie chce. Oj nie, tylko umierać... O śmierć człowiek się modli. Nie wydaje się ona straszna, oj nie.

Można by te słowa dodać do analizy obrazu Jacka Malczewskiego *Śmierć* – pomyślała Kamila.

Matka usunęła z wazonu zwiędłe kwiaty, zmieniła w nim wodę, dosypała soli, nożyczkami zmiażdżyła końce lodyg przyniesionych róż i świeże, ale bez zapachu utraconego w hurtowniach, zamrażarkach, włożyła do ciężkiego kryształu o miodowej barwie. Spoglądała na córkę

ze współczuciem. Musiała o bólach chorego słyszeć już nieraz i na pewno dosyć napatrzyła się na walczącego z dolegliwością zmęczonymi oczyma z uczuciem bezradności. Prawdopodobnie do pewnego stopnia czuła pewną ulgę, że tym razem to nie ona wysłuchuje historii choroby męża, bo przybyła nowa ofiara utyskiwań człowieka skazanego na ból i łóżko. Tęsknie wypatrującego śmierci.

Kamila nie wiedziała, jak ma reagować. Lękała się stawiania jakichkolwiek pytań, spodziewając się dalszych opisów cierpienia, wobec którego była bardziej bezsilna niż pani doktor z Wrocławia. Jak mogłaby pomóc ojcu? Poprawiła pod jego głowę poduszkę, stwierdzając przy tym, że jest nieprzyjemnie wilgotna. Ale czy powinna zażądać od matki jej zmiany? Przecież uraziłaby ją do żywego!

– A nieraz ból jest tak paskudny... – pojękiwał dawny wilk morski, mężczyzna z wrytymi w pamięć sztormami, orkanami, tajfunami na wszystkich oceanach świata.

W pokoju zapadł mrok, ale matka Kamili chyba celowo nie zapalała światła, by ono jeszcze bardziej nie ujawniało nędzy egzystencji ludzi starych. Tkwili zatem w coraz gęstszych ciemnościach wypełnionych monologiem chorego mężczyzny i odgłosem kościelnych dzwonów wygrywających melodię maryjnej pieśni.

Kamile ogarniało znużenie, zamierzała już odpocząć, położyć się i zasnąć, zapominając o tym, co zastała po przebyciu kilkuset kilometrów drogi, przez kilka godzin nie myśleć o smutnych oczach matki, o ojcu z trudem znoszącym nieuleczalną przypadłość.

– Chciałabym coś zjeść i się położyć – zdobyła się na odwagę, przypominając o sobie, o swoich potrzebach. Trasę ze Szczecina do Kudowy Zdroju przebyła bez zatrzymywania się na odpoczynek czy posiłek. Raz tylko zjechała z drogi na stację benzynową, by napełnić bak i wypić kawę. Naprawdę zgłodniała, bo i śniadanie zjadła skromne. – Mogę pomóc w przygotowaniu kolacji – zobowiązała się, widząc nieukrywane zakłopotanie matki.

– Wiesz, córeczko, będzie lepiej, jak przejdiesz się do pensjonatu „Scaliano”. – Wbiła wzrok w podłogę. – To zaledwie kilka kroków stąd. Mają dobrego kucharza. I prześpisz się wygodniej niż u nas, gdzie dom zmienił się w szpital. W „Scaliano” czekają wolne pokoje, bo już po sezonie, tylko jak co roku nieliczną grupę Niemców jedynym autokarem przywieźli na zabiegi rehabilitacyjne. Bo u nas wciąż są one tańsze niż za Odrą.

Kamili trudno było uwierzyć w to, co usłyszała z ust matki. Poczowała się nieproszonym gościem, na tyle słabo związanym z przyjmującymi gospodarzami, że bez wahania wskazuje się mu drogę do hotelu i restauracji. Czyżby w domu rodziców nie było dla niej kąta, kromki chleba, herbaty? I świeżej pościeli?

Dlaczego matka mówiła tak niewiele, jakby bała się powiedzieć słowo, dwa za dużo? Co ukrywa? Jakiej prawdy o ojcu, o ich małżeństwie nie zamierzała ujawnić? Jeżeli jest coś, z czego pragnęła się zwierzyć, to zatrzymałaby córkę w domu, przeszłyby do drugiego pokoju czy do kuchni, gdzie mogłyby swobodnie porozmawiać. Nie, matka chciała pozbyć się jej z domu, nie przedłużać spotkania, które mogłoby odkryć jakąś jej tajem-

nicę. Czymże więc jest ta wizyta u rodziców, jeśli nie tworzeniem pozorów więzi?

– Jutro muszę wracać – przypomniała Kamila.

– Tak, oczywiście, masz swoją pracę, obowiązki – zgodziła się z faktem rychłego rozstania matka. – Wstąpisz przed wyjazdem pożegnać się?

– Tata nie wstanie, ale może mama zje ze mną kolację w „Scaliano”? – zaproponowała Kamila.

Zatrzepotały w mroku kobiece ręce.

– Ach, nie, nie. Nie mogę zostawić ojca.

– Na godzinę, dwie...

– Niemożliwe – stwierdziła pośpiesznie tamta.

Kamila zwróciła się do ojca:

– Chciałabym porozmawiać z mamą.

– O czym? – spytał cierpko.

– Jak kobieta z kobietą, jak córka z matką.

– Rozmawiajcie, przecież wam nie bronię – odezwał się chory.

Kamila poczuła niechęć do ojca. Starzejący się egotysta!

– Godzina, dwie... Przecież to tak niewiele. Chyba przez ten czas nic się nie stanie złego – przekonywała.

– Jeden Pan Bóg to wie – padła w ciemnościach męska odpowiedź.

– A więc?

– Ona wie, co robi – wyręczył kobietę mężczyzna.

Kamila zaczęła podejrzewać ojca o terroryzowanie matki. To było bardzo prawdopodobne. Chciał ją mieć dla siebie, tylko dla siebie. Tyle lat jego wyrzeczeń, gdy pływał, tak niewiele oczekiwań ze swej strony wobec kobiety, której zapewniał tak dużo w czasach nie najłatwiejszych, w komunizmie, więc teraz żąda spłaty długu w formie bezgranicznego poświęcenia.

Dobrze, że nie widziała twarzy ojca, matki. Nie patrząc w ich oczy, wygodniej było się rozstawać. Może już na zawsze? Bo czy miała po co przyjeżdżać do nich?

Nad kurort z cierpiącymi, leczącymi się napływały cienkie ławice cirrocumulusów.

3

Od autobusowego przystanku do szkoły Sylwia nie ma więcej niż 13 minut pospiesznego marszu jesienią czy zimą, 18 minut w słoneczny wiosenny, rozleniwiający dzień. Na ogół tyle wystarczy, by przewietrzyć ubranie z autobusowego zaduchu pasażerów oszczędzających na mydle, smrodu bezdomnych korzystających z przywileju darmowych przejazdów od pętli do pętli, od pierwszego kursu pojazdu do ostatniego.

Swego czasu, w latach nie najgorszych dla oświaty, dyrekcja gimnazjum dbając o bezpieczeństwo podopiecznych szarpnęła się na metalowe ogrodzenie, niestety coraz bardziej już poszarpane, wyszczerbione przez zbieraczy złomu w czasach nie najlepszych dla całego społeczeństwa żyjącego w kryzysie. Zwykle rano w bramie - zawsze otwartej na oścież - stoi wóz dostawczy z towarem do szkolnego bufetu - z wszystkim, przed czym przestrzegają specjaliści od zdrowego żywienia w programach telewizyjnych, a więc hamburgery, frytki, kurczaki w panierce, coca-cola, fast foody składające się na codzienny lunch głodomorów.

Opierając się o wóz, każdy kto przebył drogę od przystanku do szkoły, podnosi najpierw jedną nogę, potem drugą, by sprawdzić, czy tym razem udało się ominąć psie kupy nieregularnie rozsiane na chodnikowych płytach. W tym czasie niedokarmieni w domu uspokajają się, że w bufecie nie zabraknie dla nich czegoś na ząb.

Do gimnazjum, im. Lotników 303. Dywizjonu wchodzi się pod tablicą upamiętniającą zasługi polskich żołnierzy na wyspach brytyjskich, mija okolicznościowe gazetki ścienne koła historycznego, modele myśliwców typu Spitfire wykonane jako prace domowe przez uczniów poprawiających sobie za ów trud oceny.

Szkoła mieści się w budynku z czasów tak odległych, że nikt nie ma odwagi autorytatywnie stwierdzić, z którego wieku są piwnice, z którego parter i wyższe kondygnacje. Tylko o dachu wiadomo, że położono go po zakończeniu II wojny światowej. Jest tortowym przekładańcem wpisanym na listę zabytków, o czym wychowankom przypomina się przy każdej okazji, których nie brakuje, a więc w rocznice historyczne, w rocznice patriotyczne, podczas innych szkolnych uroczystości. Mury są stare, korytarze wystarczająco szerokie, by można się na nich bezpiecznie rozpędzić w drodze do bufetu czy ubikacji bez narażania kucających pod ścianami, bez lęku o potrącenie dostojnie przemieszczającego się z lekcyjnym dziennikiem pod pachą od gabinetu do pokoju nauczycielskiego ciała pedagogicznego.

Budynek ma solidne piwnice wykorzystane na świetlicę, bufet, kącik z telewizorem, salkę ze stolikami i krzesłkami, w której można komfortowo zasiąść do odpisywania lekcji. Sporą część piwnic zajmuje szatnia, zwana giełdą, bo tu przepływają informacje, kto i z jakiego przedmiotu potrzebuje koleżeńskiego wsparcia. Tutaj podczas pozbywania się płaszczy, kurtek, czapek, szalików można się dowiedzieć, kto z grona pedagogicznego zachorował, kto jest na kursie specjalistycznym, kto z dzieckiem stoi w kolejce do lekarza rodzinnego, kto

uczestniczy w delegacji na cmentarz z wieńcem, by pożegnać zmarłego kolegę- emeryta.

Sylwia podała szatniarce kurtkę.

– Się masz – do jednej z kumpelek.

– Się masz – do drugiej.

Przez zgiełk wiadomości ważnych dla wielu uczniów przedziera się z grającego telewizora szczebiotanie aktorki, która straciła rolę w serialu, więc postanowiła wystąpić w nowej – kobiety gotującej smacznie i zdrowo. Nie dla siebie, nie dla rodziny, a dla widzów. Z nadzwyczajną pasją zachęcała do przygotowania na obiad mięsnych pulpetów z makaronem.

Szatniarka na chwilę zamarła w bezruchu, by usłyszeć, jakie są niezbędne produkty do proponowanego posiłku. Powróciła do przerwanych czynności, gdy usłyszała, że konieczna jest bułka tarta.

– Bułka... Bułka... Wyszła mi! – Westchnęła ciężko, przyjmując podany kolejny płaszcz. I z gniewem do Mariusza, wyładowując na nim swą złość: - Jak trzymasz łach, pajacu.

W tym miejscu nikt nie ma imion, nazwiska, wszyscy są bezpłciowymi pajacami.

Sylwia z ustami w ciup do pajaca powstrzymującego się od reakcji:

– Cześć.

Najwidoczniej to powstrzymało go od pyskolenia.

Pierwszą lekcję prowadzi Śpiąca Królowna. Długo sadowi się za stołem przed zieloną tablicą typu tryptyk F-

line na czołowej ścianie klasy. Niechętnie otwiera oczy, przedłuża chwilę przebudzenia, pragnąc jak najdłużej pozostawać w świecie odległym od nieznośnych bachorów, głupiego dziennika, idiotycznego programu przedmiotu, zatrzymując się w świecie snu. Przez oczną szparkę podkreśloną maskarą Maybelline New York zerknęła na pierwsze ławki i to już wystarczyło, by nabrała jeszcze większej niechęci do szarej rzeczywistości, w której zajmuje nie najciekawsze miejsce, w każdym razie mało płatne. Powoli przenosi wzrok na listę uczniów w dzienniku. Kiedyś były znacznie dłuższe! Z każdym rokiem są krótsze. Jej odczytywanie wystarczyło co najmniej na dwanaście minut! A gdy zrobiło się jeszcze jakąś uwagę przy padającym nazwisku – to można było dociągnąć do piętnastu. Wymawia z flegmą nazwisko po nazwisku, imię po imieniu, dając sobie czas na otrząśnięcie się ze snu.

Odsylabizowane ostatnie nazwisko oraz dwóch trzysylabowych imion przy nim doprowadziło Królową niemalże do rozpaczliwej refleksji na temat beznadziejności życia. Zerknęła na zegarek – upłynęło zaledwie osiem minut z czterdziestopięciominutowej katorgi, z orki na ugorze! Czy lekcje nie mogłyby trwać krócej? Związek zawodowy powinien taką możliwość rozważyć. Zmęczenie i senność nie opuszczały jej. Czas tak wolno płynie! Jak w kamieniołomach. Albo w kondukcje pogrzebowym. Czym go wypełnić? Kartkówką? Nie, nie. Wtedy musiałyby dyktować ileś tam pytań, potem sprawdzać je, oceniać, przekonywać bezczelnych autorów wypowiedzi do sprawiedliwie wystawionych not, do swej belferskiej nieomyłności. Wygodniej, bezpieczniej wezwać jakąś ofiarę do odpowiadania.

W zalegającej ciszy długopis przesuwa się od pierwszego nazwiska do ostatniego.

Kogo wybrać?

Entliczek pentliczek

Czerwony stoliczek

Na kogo wypadnie

Na tego bęc

Bęc! Bęc! Bęc!

Jest! Na środek! Do tablicy!

I nie spiesz się. To nie lekcja wychowania fizycznego. Powoli wyjdź zza stolika, odsuń krzeselko, potrąć koleżance zeszyt, pochyl się, podnieś, przeproś. Tego wymaga kultura i ospale płynący czas. Jak w pociągu pod semaforem.

Śpiąca Królowna zagląda do dziennika, by sprawdzić, co mogło być tematem ostatniej lekcji, co ewentualnie zadała do domu.

Ten kołyszący się przed tablicą łobuz z bezczelną miną najbardziej cierpliwą istotę może wyprowadzić z równowagi. Jaki ma luz! Jakby całe wczorajsze popołudnie wypoczywał, noc spokojnie przespał, a do szkoły jechał nie autobusem, a z tatuńciem w jaguarze! Oj, takiemu warto pokazać, gdzie jego miejsce, zahartować do znoszenia trudów życia. O co go zahaczyć? Z czego nie będzie się mógł pozbierać? Nie, nie dziś. Trudne pytanie – to brak odpowiedzi, to konieczność wymyślania pomocniczego jednego, drugiego. A w głowie pustka kosmicznej prze-

strzeni. Lepiej podrzucić mu coś łatwiejszego, by mógł się wygadać przynajmniej przez sześć lub osiem minut.

Śpiąca Królewna zerknęła na zegarek.

Lekcje są stanowczo za długie!

A uczniowie, przygotowywani wyłącznie do rozwiązywania zadań testowych, są coraz mniej elokwentni. Niedługo w ogóle zapomną mówić. I wtedy dopiero będzie problem, jak wytrzymać czterdzieści pięć minut?!

Sylwia ze współczuciem w piwnych oczach patrzy na Mariusza sterczącego przed tablicą.

Na każdej przerwie dziewczyny biegną w najodleglejszą część piwnicy, zawsze mrocznej, do której ledwo dociera ożywiony głos prowadzących w telewizji poranne porady kulinarne, do KUM-u – Klub Uczniowskich Mrzonek.

Dziewczęta minęły salkę z telewizorem, na którego ekranie autorka mało poczytnych książek adresowanych do czytelniczek odkryła w sobie pasję do gotowania. Nie dla siebie, nie dla rodziny, a dla widzów.

– Do bulionu rybnego z pulpecikami potrzebujemy: kilogram mieszanych ryb: kerguleny, tołpygi, miętusa, jedną łyżkę bułki tartej...

– Jezus Maria! Znów bułka tarta! – wykrzyknęła szatniarka o tej godzinie pełniąca rolę sprzątaczkii. Była tak zirytowana, że niewiele brakowało, a złamałaby mopa z obrotowym systemem rotacji, o którego przez jakiś czas się opierała. – Gdzie lezicie, pajace! – próbowała rozładować gniew na dziewczynach.

A one nie zwróciły na nią uwagi, przeszły do klubu.

Pierwsza opadła na krzesło Natalia.

– Fryderyk Chopin w naszej szkole nie przeszedłby z klasy do klasy! – stwierdziła. – Może wyłożyłby się na technice, albo historii, a na pewno na języku polskim.

Gloria, która sama wybrała dla siebie imię, ze współczuciem i zrozumieniem problemów kumpelki skinęła głową.

– Alberta Einsteina za złe zachowanie usunięto ze szkoły – zauważyła ta, która w trakcie edukacji w gimnazjum ze sprawowania nie mogła się pochwalić wysokimi ocenami, bo frekwencję miała niską, bo do szkoły przychodziła bez książek, bo nie przynosiła usprawiedliwień z opuszczonych lekcji. I jak diabeł święconej wody unikała lekcji z wychowania fizycznego.

– Co ukończył Jezus Chrystus, nie wiemy – twierdziła z przekonaniem Natalia.

– Czasy były inne, wymagania inne – uważała Sylwia.
– Teraz bez niektórych dokumentów jest się nikim! Jezus Chrystus miałby kłopoty ze znalezieniem słuchaczy.

Natalia oburzyła się:

– Co ty gadasz? A bez głupich papierków to nie istnieję, nie mam prawa żyć?

Natalia zignorowała jej pytanie.

– Naszym gadaniem niczego nie zmienimy – rzekła. – Chcemy czy nie, będziemy robić to, co nam każą. C'est la vie.

Natalia zerwała się z krzesła. Już nieraz słyszała z ust kumpelki to powiedzenie, sprawdziła w Googlach, co znaczy.

– Takie może jest twoje życie, ale nie moje! – krzyczała oburzona.

Doszłoby do rozłamu w Klubie Uczniowskich Mrzonek, gdyby nie dzwonek wzywający na kolejną godzinę lekcyjną.

Kolejną lekcję wypełnił zaproszony przez dyrekcję szkoły gość. Skończył czytać opis przedstawiający walkę w czasie II wojny światowej polskich lotników o niebo nad Anglią. Otarł łzę wzruszenia pod prawym okiem, pod lewym, głośno wytarł chusteczką higieniczną nos, westchnął ciężko, poprawił mundur prawdopodobnie formacji polskich myśliwców – nowiutki, odszyty na miarę rosłego, szczupłego mężczyzny; śmiało mógł w nim odmaszerować na paradę wojskową, stanąć na warcie pod Pomnikiem Nieznanego Żołnierza. Albo wziąć udział w *castingu* do serialu z rozbudowanymi wątkami miłosnymi. Z powodzeniem mógłby zastąpić któregoś z aktorów z „Barw szczęścia”. I na pewno od pewnego czasu topniejąca oglądalność serialu znowu by wzrosła.

Dziewczyny nie mogły się napatrzeć na niego, były zauroczone wyglądem, postawą, pociągającą urodą. I mundurem. A nad nim unosiła się legenda lotników Dywizjonu 303, tradycja, bohaterstwo, poświęcenie, koleżeństwo w podniebnych brawurowych bojach. I piękno munduru.

Tacy zasługują na podziw.

Ile nowych terminów przybyło do zasobu używanego słownictwa!

Chłopcy spoglądali na niego z mniejszym zachwytem, sceptycznie spoglądali na lotnika

w mundurze.

Do zadawania pytań pierwszy wyrwał się Mariusz.

– Ile miał pan lat wsiadając na lotnisku Northolt do Spitfire’a ? – spytał, mrużąc oczy ledwo kryjące bezczelne, drwiące spojrzenie.

Sylwia posłała chłopakowi uśmiech.

Tymczasem niecodzienny gość najwidoczniej został zaskoczony tą ciekawością słuchacza, spojrział niewyraźnie w stronę prowadzącej spotkanie nauczycielki, jakby oczekiwał od niej pomocy. Ale i ona była zauroczona młodym mężczyzną w mundurze, leżącym na nim jak ulał; uśmiechała się do czegoś, co mogło być jej marzeniem, kobiecą fantazją i leciutko kiwała głową w prawo, w lewo, odlatując dalej niż myśliwce znad Anglii. Nie widziała ucznia, klasy, nie słyszała prowokującego pytania, bo była daleko, daleko... i nie sama. Mundury lotników są tak śliczne!

Umundurowany gość zaczął się niespokojnie wiercić i po krótkim czasie, może przy piątym albo siódmym półobrocie, po trzecim chrząknięciu, po dwukrotnym otarciu czoła z kropel potu wypalił jak z karabinu maszynowego Browning’a, z którego do nieprzyjaciela strzelali polscy lotnicy nad Kanalem La Manche. Oni celnie, gość w mundurze mniej dokładnie.

–Tradycję, moi drodzy, nie tworzy jedno pokolenie, nie powstaje w jednym dziesięcioleciu. Tak, moi drodzy. Zawdzięczamy ją wielu pokoleniom, wielu dziesięcioleciom. Stoję przed wami, ja, moi drodzy, wnuk lotnika

spod angielskiego nieba, ja prelegent Towarzystwa Upamiętniającego Bohaterów Dywizjonu 303, stoję tu, moi drodzy, by uchronić przed zapomnieniem wysiłku i ofiarę naszych żołnierzy na obcej ziemi, na której walczone o wolność ojczyzny. Jestem żywym przekazem, przesłaniem, idei lotników Dywizjonu 303, głosem wzywającym do pamięci o patriotyzmie teraz, moi drodzy, w latach, gdy grozi nam utrata suwerenności. Czy o taką Polskę walczyli nasi dziadowie, ojcowie na wielu frontach w Europie? – podniósł głos. – Co powiedzieliby lotnicy Dywizjonu 303, gdyby usłyszeli, że zamierzamy oddać się pod panowanie tych, z którymi oni toczyli zażarte boje? Niemcom, moi drodzy?! Niemcom!

Nikt nie podjął problemu wysuniętego przez prelegenta. Może tym zwrotem „moi drodzy” kupił milczenie słuchaczy? W każdym razie innych pytań do niego już nie było.

Mariusz wzruszył ramionami i dał lekkiego kuksańca Kaśce, wybudzając ją z cielecego zachwyty, przywołując do opamiętania się.

Przechodząc koło salki z telewizorem rozgorączkowanie posłanki, która dała się zaprosić przez telewizję do audycji o gotowaniu nie dla siebie, nie dla rodziny, a dla widzów, przywracało uczniów do rzeczywistości:

– Aby zrobić drobiowe pulpeciki na zimno potrzebujemy – posłanka dzieląca się radami zerknęła do kartki – pół kilo drobiowego mielonego mięsa, trzy łyżki bułki tartej...

Sprzątaczką zbierająca papier po bukietach wręczonym zaproszonemu gościowi nie wytrzymała:

– Co one dziś uparły się na tę cholerną bułkę tartą! – krzyknęła, wciskając papier do pojemnika na śmieci. – W którymś sklepie za wiele jej! – I ze złością do Mariusza: - Uważaj, pajacu, jak łazisz!

A w jego „łażeniu” nie było nic nowego, chodził jak zawsze tak samo, może tylko szedł bardziej wyprostowany, głowę niósł wyżej ponad rozgęgane koleżanki dzielące się wrażeniami ze spotkania z wnukiem lotnika z II wojny światowej.

Do końca roku szkolnego zostało wiele miesięcy, dyrekcja do realizacji programu wychowania patriotycznego na pewno zaprosi kogoś w mundurze z wojny w Iraku, z wojny w Afganistanie, z misji wojskowych w Afryce, na Bałkanach. Czy ich mundury podobnie oczarują dziewczęta? – zastanawiał się w drodze do bufetu.

Głowa Mariusza wystrzeliła ponad inne, płomienne oczy jak Johnny’ego Deppa szukały, wybierały, w końcu spoczęły na smukłej sylwetce Sylwii. Przesunął się do niej.

– Co chcesz robić w okienku? – spytał szeptem tuż nad odsłoniętym z włosów uchem.

Wypadła matma, między lekcjami powstała prawie godzinna wyrwa w planie zajęć, dyrekcja nie przewidziała zastępstwa, pozostawiając uczniom czas do swobodnego wykorzystania, najlepiej do nadrabiania zaległości programowych, apelując o zachowanie ciszy, by nie przeszkadzać innym klasom.

– Nie mam pojęcia – wyznała również cicho.

– Świetnie się składa, bo ja mam – wciąż mówił konfidencjonalnie, jakby zamierzał wyznać coś, czego inni nie powinni słyszeć. – Skoczmy na lody do „Castelarii”.

– Na Jasne Błonia?

– Nie, do GK.

Do Galerii Kaskada, ostatnio najmodniejszego centrum handlowego w mieście, ze szkoły było zaledwie sześć minut spaceru. Większość przerw między lekcjami uczniowie spędzali w nowoczesnej, uhonorowanej dyplomami placówce, oferującej prócz możliwości dokonania zakupów także rozrywkę, zaspokajającą apetyty smakoszy.

To była dobra propozycja Mariusza, Sylwia przyjęła ją z zadowoleniem.

Minęli dyżurkę wyposażoną w mały telewizor, na którego ekranie Magda Gessler ruszała w stronę restauracji wymagającej jej interwencji, by lokalowi przywrócić popularność, a wynoszonym z kuchni daniom nadać kulinarną wysoką jakość.

Wymknęli się ze szkoły, żwawym krokiem przemierzali niewielką przestrzeń dzielącą ich od GK – sylwetką przypominającą dawny kombinat gastronomiczny, który spłonął wraz z sześcioma uczniami – praktykantami. Któż by o nich pamiętał w nowoczesnej przeszklonej budowlu, pośród blichtru, przepychu oferowanego klientom przez producentów, handlowców XXI wieku?

Sylwia wysuwała z portmonetki pieniądze – całą tygodniówkę, jaką dostawała w każdy poniedziałek, nim ruszyła na przystanek autobusowy.

– Ja stawiam – usłyszała.

Czyżby to była randka? – zastanawiała się, czekając przy stoliku na lody. – Randka w „okienku”?

Nie tak wyobrażała sobie p r a w d z i w ą randkę. Nie pasowała do jej wyobrażeń o pierwszym spotkaniu z chłopakiem, co na pewno pozostaje w pamięci na całe życie. I nie tak opisują to wydarzenie autorki powieści dla dziewcząt, nie takie sceny przedstawiają filmy o rodzących się uczuciach nastolatków.

Cóż, w XXI wieku trzeba odejść od schematów.

Zerknęła w ekran zawieszzonego na ścianie telewizora plazmowego LG 42, na którym serialowy aktor, zwycięzca edycji „Tańca z gwiazdami” poczuł potrzebę dzielenia się kulinarnym doświadczeniem. Proponował telewizjom barszcz z prawdziwkami podduszonymi na oleju z cebulą, przyprawioną solą, pieprzem i z dodatkiem tartej bułki.

Nieważne porady aktorka gotującego nie dla siebie, nie dla rodziny, a dla widzów. Sylwia zawisła wzrokiem na ustach Mariusza zwierającego się ze swych marzeń.

– Gdyby nie moi starzy, to już dziś wsiadłbym do samolotu i poleciał do Chin.

Sylwią wcale to nie zdziwiło, bo chłopcy w tym wieku mają dziwne pomysły i zawsze chcą zaimponować dziewczynom. Nie miała nic przeciwko temu, by i Mariusz zachowywał się podobnie.

– Tylko w Azji można zrobić wielki interes – zapewniał, klując łyżeczką gałkę czekoladowego lodu.

– Wiesz, jakie oni mają pomysły nie z tej ziemi? – zawiesił głos, wpatrzył się pytająco w oczy Sylwii. – Wymyślili deskę sedesową automatycznie spuszczącą wodę!

Ten wynalazek Azjatów nie zauroczył Sylwii, ale nie mniej wciąż z zachwytem słuchała chłopca i chciała wiedzieć, co będzie p o t e m, po opuszczeniu GK. To ją interesowało, a nie sposób spuszczenia wody w muszli klozetowej.

Niedługo czekała na odpowiedź. Wraz ze znikaniem czekoladowych gałek lodów gasły oczy Johnnny’ego Depa, spływała woda w muszli ubikacyjnej, upływał czas międzylekcyjnego okienka.

P o t e m była lekcja przewidziana planem szkolnych zajęć. I nic ponadto.

Na lekcji języka polskiego nauczycielka rozdała powielone ubiegłoroczne testy. Miały one sprawdzić przygotowanie uczniów z przygotowania do tych, jakie na nich wkrótce czekają. Sylwia bez zatrzymywania się leciała od jednego zagadnienia do drugiego. Z tego rytmu wybiły ją dopiero wersy:

Na głowie mam kraśny wianek,

W ręku zielony.....

Przede mną bieży.....

Nade mną leci.....

A pod nimi zadania:

a. Uzupełnij brakujące słowa.

- b. Z jakiego utworu pochodzą wersy?
- c. Kto je wypowiada?
- d. Utwórz bezokolicznik od „bieży”.
- e. Podaj przynajmniej dwa synonimy do „bieży”.
- f. Epitet „kraśny” zastąp odpowiednim:
 - żółty,
 - czerwony ,
 - niebieski.

Podkreśl przez Ciebie wybrany.

Natalia chyba ma rację – pomyślała Sylwia – że Chopin byłby w podobnym kłopotcie jak ona. Jak przez gęstą mgłę pojawiał się tekst szkolnej lektury, ale nie była pewna ani autora, ani tytułu. Mickiewicz? Słowacki? Na pewno jeden z nich. Który co napisał?

Spod długopisu w brudnopisie spływają litery, słowa, ale nie chcą się ułożyć w tytuł dzieła godnego pamięci gimnazjalistki. Tyle ich było! W każdej klasie kilka. I wszystkie ważne, wiekopomne. Autorom przekazanych mądrości wieczna chwała i pamięć! W szkole podstawowej Mickiewicz, Słowacki, w gimnazjum Mickiewicz, Słowacki, na pewno i w liceum będą.

Spróbowała zmusić się do logicznego myślenia.

Na głowie mam kraśny wianek.

Może to być pijany Grabiec z „Balladyny” Słowackiego, ale może też biegać dziewczyna z jakiejś ballady Mickiewicza. A co trzyma w reku? Alina w „Balladynie” koszyk, jej siostra nóż.

Uwagę przykuło słowo „bieży” i natychmiast opadły ją różne skojarzenia. Pomyślała o bieżni na boisku, o materiale z jakiegoś tam przedmiotu nie realizowanym na bieżąco, o bieżącym rachunku, o kołodzie, w której „przybieżeli do Betlejem pastuszkowie”. A jak powinien brzmieć okolicznik?

Wzrok jej przesunął się na ostatni wers: Nade mną leci...

Mucha? Nie w poezji! Pszczoła? Prędeży, choć wątpliwe, by pasowała do któregoś z rymów. Taaak! Trzeba zacząć od szukania rymów. Jakie mają być? Męskie? Żeńskie? Parzyste? Okalające? Przeplatające? Tylko jeden wers jest zakończony. Wianek, wianek, wianek – powtarzała gorączkowo. Kraśny... Kraśny? A to co za nowe dziwo? Jaki może być wianek? Świeży? Przywiedły? Do „kraśnego wianka” trzeba dobrać rym.

Zgromadziła kilka, gdy dzwonek przerwał twórczy wysiłek.

Wszyscy składali na stół przed polonistką arkusze w milczeniu, bez komentowania, bez licytowania się, kto na ile odpowiedział. Tyle wątpliwości, że każdy mógł uznać się za nieuka.

Ale w korytarzu, gdy ktoś niechcący potrącił kubek sprzątaczkę, usłyszeli, że nie tyle są nieukami co pajacami. Godząc się z tym określeniem, pobieżeli do bufetu, by wzmocnić nadwątlony nadmiernym umysłowym wysiłkiem organizmy.

Wiedza z kolejnego przedmiotu jest tak obszerna, że swym ciężarem przytłacza ptasie ramionka prowadzącej.

Już wchodząc do klasy wywołała współczucie dla osób nieszczęśliwych, boleśnie odczuwających nie tylko to, co wie, ale jeszcze bardziej to, co nie jest w stanie przekazać leniom, nieukom, obibokom.

Omiatła spojrzeniem klasę. Czy kiedyś będzie mogła pochwalić się, że wychowała następcę Johanna Keplera, Alberta Einsteina, Michaela Faradaya? Nie, nie widzi takich możliwości. Sama miernota. A świat czeka na mądrych odkrywców, na badaczy Ziemi i przestrzeni kosmicznej, na odpowiedzi na wiele pytań nękających ludzkość od tysiącleci. Czy ktoś z uczniów mógłby podjąć się badań nad prędkością nadświatłową, teleportacją kwantową? Czy to w ogóle ich obchodzi? Rośnie pokolenie gapiące się w ekrany telewizorów, komórek, iPadów. Wiedzę o świecie będą im przekazywać aktorzy rano popisujący się przepisami kulinarnymi, w południe objaśniający zachowanie małp w ZOO, w godzinach popołudniowych odczytujący z regularnością zegarowej kukułki wiadomości ze świata, a w wieczornych odgrywający w serialach role życiowych popaprańców.

Zawiedziona, z coraz większym rozczarowaniem patrzyła na swych wychowanków.

Czy warto rzucać perły przed wieprze?

Gdyby uczyła w elitarnej szkole rosyjskiej, chińskiej... Miałyby efekty... Na pewno udałoby się jej wychować kogoś, kto zająłby się niedawno odkrytymi egzoplanetami. A ci tutaj? W ogóle słyszeli o tych odkryciach? A nawet jeżeli, to na pewno przyjmowali wiadomość podobnie jak wyniki Totolotka. Tak, to nie materiał na uczonych, żyją w zbyt banalnym świecie, problemami błahymi.

Zerknęła do dziennika na tematy do przerobienia. Tyle wysiłku z jej strony na marne! Trud zbędny, niedoceniony. Gdyby przed nią siedziały bardziej chłonne umysły, to miałyby im tak wiele do przekazania! Ach, ile nowinek! Każdy dzień przynosi nowe odkrycia. Nie sposób za nimi nadążyć. A trzeba, trzeba... Przynajmniej warto spróbować.

Poprosiła uczennicę z pierwszej ławki, Magdę z ładnym charakterem pisma, by na tablicy zapisała temat lekcji:

– Powtórka regulek z klas podstawowych.

Kiedy uczennica skończyła zapisywanie tematu, padło polecenie:

– Wyrwijcie z zeszytów dwie kartki, podpiszcie, a potem zabierzcie się do pracy, to znaczy każdy niech przypomni sobie, jakie poznał w szkole podstawowej zasady, reguły, prawa i wypisze je.

Uczniowie pochylili się nad kartkami, zastanawiając się, z czego można by ściągnąć wkuwane przed laty definicje, a nauczycielka ujęła głowę w dłonie rąk wspierających się o pulpit stołu i oddała się marzeniom o prowadzeniu klasy z uczniami wybitnie zdolnymi.

Sylwia ledwo stanęła w drzwiach domu, a usłyszała z ust mamy:

– Poznałam dziś oryginalny przepis na barszcz. Mam wszystko: buraki, marchew, pietruszkę, seler, suszone prawdziwki. Brakuje mi tylko tartej bułki. Kochanie, skocz do sklepu i kup.

Dziewczyna poszła do sklepu.

Już w środku między regałami z koszykiem w ręce spotkała Natalię.

– Czego szukasz? – spytała ją Sylwia.

– Tartej bułki – odpowiedziała tamta.

– Co za przypadek, bo ja też.

– Dziwne, mam takie wrażenie jakbym o tej tartej bułce słuchała przez cały dzień. O niczym innym tylko o niej – wyznała.

Natalia nerwowo wzruszyła ramionami.

– A o czymś jeszcze więcej słyszałyśmy? Nawet nie dowiedziałyśmy się, co ma dziewczyna z kraśnym wiankiem na głowie w ręce i co nad nią lata? Całe popołudnie będę musiała szukać u Mickiewicza, Słowackiego. Zmarnowane, bo komu to potrzebne, co ta wymyślona przez poetę dziewczucha trzymała w ręce?

Sylwia zastanawiała się chwilę.

Czy dzisiaj usłyszała coś, o czym powinna pamiętać? Nie, niestety nie. Może gdyby Maraiusz zamiast bajduńczyć o chińskich sedesach zdobył się na coś więcej, choćby na małe wyznanie, komplement w rodzaju „ładnie ci w tym uczesaniu”, odważył się i zaproponował, by na spotkaniu w GK nie skończyli, to byłby dzień godny zapamiętania. A tak? Nie wydarzyło się w nim nic nadzwyczajnego, nie padło żadne zdanie, słowo godne pamięci.

Dzień taki długi, a wkrótce weekend...

Natalia szturchnęła ją w bok.

– Zbudź się!

Sylwia starała się sobie przypomnieć, po co ją mama posłała do sklepu.